

# SENS ZWYCIĘSTWA I SENS POKOJU

9 maja 1945 roku ukazały się nadzwyczajne wydania gazet. Wielki, na całą szerokość kolumny tytuł „Życia Warszawy” wołał: „Niemcy skapitulowały! po 2077 dniach najkrwawszej w dziejach świata wojny. Wczoraj o godzinie 23.01 padł rozkaz przzerwania działań wojennych w Europie, na morzu, lądzie i w powietrzu”.

Gazety przynosiły także wiadomość, że na podstawie dekretu Rady Ministrów dzień 9 maja obchodzony będzie jako „Święto Zwycięstwa”, że o godzinie 12 w południe nastąpi chwila ciszy dla uczczenia poległych w walce o wolność i niepodległość.

Były więc minuty żałobnej ciszy w samo południe, wtedy jeszcze nie dla uczczenia pamięci poległych, a ich samych, bo ci polegali byli bliscy często tylko o miesiąc i dni, a równocześnie była powszechna żywiołowa radość, która sprawiała, że „Święto Zwycięstwa” — stało się od razu świętem ogólnonarodowym.

W maju 1945 r. znaleźliśmy się w szeregach państw zwycięskich. Nie tylko dlatego, że hitlerowskie Niemcy, które w 1939 roku napaści na Polskę rozpoczęły największą z wojen w dziejach ludzkości podpisały bezwarunkową kapitulację a na Kolumnie Zwycięstwa przy Bramie Brandenburskiej w Berlinie zawisł, obok flagi radzieckiej białoczerwony sztandar zawieszony przez polskich żołnierzy biorących udział w zdobyciu Berlina. Również dlatego, że odrodzona Polska wchodziła w swą powojenną historię w nowych, zabezpieczających jej rozwój i bezpieczeństwo — granicach na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej, że wybrała ustrój społeczny gwarantujący wyzwolenie wszystkich, tak potrzebnych po latach okupacji i upustu krwi, sił narodu, że posiadała prawdziwych przyjaciół i sojuszników — z głównym uczestnikiem koalicji antyhitlerowskiej i autorem zwycięstwa nad III Rzeszą — Związkiem Radzieckim.

Mieliśmy prawo obchodzić dzień zwycięstwa, dzień zakończenia wojny. Wysiłek wojenny narodu polskiego w latach 1939—1945 umiejscawia Polskę w pierwszym szeregu państw zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej.

Bohaterski, zacięty opór naszego kraju walczącego w osamotnieniu we wrześniu 1939 roku był czynnikiem mobilizującym inne narody do walki z hitlerowską agresją. Zapoczątkował tworzenie się szerokiego frontu antyhitlerowskiego.

Po klęsce wrześniowej walka ludu polskiego z faszystowskim najeźdźcą toczyła się nadal.

W okresie wiosna—jesień 1944 czyli w miesiącach, gdy fala walki podziemnej z okupantem podniosła się najwyżej, w zmaganiach z hitlerowcami zaangażowanych było czynnie 100 tysięcy żołnierzy Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich.

W ostatniej fazie wojny Ludowe Wojsko Polskie liczyło około 400 tysięcy żołnierzy. Jeśli dodamy do tego jednostki polskie działające na froncie zachodnim — to okaże się, że w ostatniej fazie zmagania z hitleryzmem uczestniczyło łącznie około 600 tysięcy polskich żołnierzy.

Skoro więc obok radzieckiej flagi zawisł w Berlinie — białoczerwony sztandar — to fakt ten symbolizował nienaruszalność wykutego we wspólnych bojach sojuszu Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego, symbolizował niepodzielną prawdę, że naród polski ma prawo akcentować swój wkład w rozgromienie hitlerizmu, swą obecność w szeregach państw zwycięskich.

Ci więc, którzy stawiają znak zapytania nad celowością wysiłku zbrojnego Polaków w okresie minionej wojny, odmawiają narodowi polskiemu miana narodu zwycięskiego, sprowadzając go do roli biernego przedmiotu rozgrywek potężnych sił i wydarzeń — kwestionują najgłębsze, tkwiące w umysłach i sercach każdego Polaka — przekonanie, że nasz kraj wniósł swój wkład w dzieło zwycięstwa nad III Rzeszą, że przelana w walce z okupantem hitlerowskim krew nie poszła na marne.

I w dniach kiedy obchodzimy rocznicę zwycięstwa, w dniach tradycyjnego Tygodnia Ziemi Zachodnich i Północnych warto przypomnieć, że to nie rezygnacja i rozpacz kierowała tymi, którzy rozpoczęli w pierwszych powojennych latach nowe życie na ruinach Wrocławia, Gdańska i Szczecina. Kierował nimi patriotyzm i zacięta wola odbudowy i zespolenia Ziemi Odzyskanych na zawsze z Macierzą. Dziesiątki i setki tysięcy ludzi którzy, zanim jeszcze skończyła się wojna, ruszyli nad Nysę Łużycką, Odrę i Bałtyk — kierowali się poczuciem głębokiego patriotyzmu i wiary, że zbudują tam swój nowy dom. Członkowie ekip partyjnych, delegaci poszczególnych zakładów pracy, przedstawiciele świata nauki i kultury zapisujący pierwsze karty pokojowego życia w miastach, osiedlach i wsiach na ziemiach zachodnich i północnych — wierzyli w sprawiedliwość decyzji dotyczących granicy na Odrze i Nysie, wierzyli w przyszłość i sens pokojowej pracy całego narodu. Dzień dzisiejszy Polski jest świadectwem tego właśnie, że oni mieli rację.

## SPRAWY POWSZEDNIE

Cokolwiek by powiedzieć o serii telewizyjnych filmów „Wojna domowa”, przez Jerzego Lovella uszczypliwie Zientariadę nazywanych — niełatwo zapomnieć jeden z odcinków, w którym wystąpił Wojciech Siemion. Świetny aktor wcielił się w rolę wychowawcy klasowego, prowadzącego wywiadówkę. Te ułamkowe wyliczenia ile dwójek przypada na statystycznego ucznia! Te wskaźniki poprawy, czy pogorszenia, w stosunku do okresu poprzedniego! Owo powoływanie komisji dla rozwiązania problemu rozbitej umywalni! Siemion pokazał, jak nie powinna wyglądać wywiadówka.

Życie szkolne kwitnie u nas bujnie, a instytucja informowania rodziców — nie ma co ukrywać — wydaje się doskonalszą nie ulegać. Już samo organizowanie wywiadówek dla wszystkich klas jednego dnia i nierzadko dla licznych klas o tej samej porze — budzi zastrzeżenia, to dość licznych przypadkach rodzin wielodzietnych uniemożliwia to „obsadzenie” dwóch — trzech zebrań, biegnących równocześnie gdzieś w sąsiednich salach. Ale to trudność, z której pokonaniem rodzice w końcu dają sobie radę; angażuje się ciotki czy babcię, do kompletu, lub po prostu jedną z wywiadówek — zazwyczaj dziecka wykazującego lepsze postępy — pomija.

Znane mi z autopsji modele wywiadówki, obowiązujące w szkołach, przewidują dwie sakramentalne części tego zgrupowania: ogólną — w której zabiera głos pedagog oraz rodzice i „indywidualną” — która w rzeczywistości indywidualną nie jest.

A propos części ogólnej wywiadówek: z pewnością Zientarowa i Siemion ukazał owe ułamki dwójek w krzywym zwierciadle satyry. Niemniej fakt pozostaje faktem, iż za wiele przypada rodzicom wysłuchiwać uwag formalnych, właśnie na temat tych nieszczęsnych dwójek, tych wskaźników i pozycji klasy (najczęściej pogarszającej się!) w szkole — a zbyt mało rzeczowych spostrzeżeń, sięgających do meritum klasowych spraw. W tej części zebrań wywiadująca się także rodzice. Nierzadko treść i formę ich wystąpienia dodatkowo deprecjonują war- tość wywiadówki. Pomijam, niewybredne czę-

stokroć, uwagi pod adresem tego czy innego nauczyciela, co to „zawzięli się” albo „widzi tylko jak mój synek napisze coś źle”; szczególnie przykre wydają mi się wypowiedzi w stylu „Lapserdacki wciąż się bije”. Tego rodzaju deklaracji jednej z mam zazwyczaj wtórują inni rodzice, których pociechy ponoć także doznały uszczerbku w wyniku działań klasowego ananasa.

Byłem na takiej wywiadówce, kiedy mowa była o kimś podobnym. Widziałem izy w oczach matki tego chłopca. Słyszałem jej, zmieszane z płaczem, publiczne w pewnym sensie, wyznania. Widziałem jej, zniekształconą reumatyzmem ręce, w uszach do dziś brzmia mi jej słowa, dyktowane przez rozpacz: — Co mam robić, pomóżcie, mam czwórkę dzieci, mąż mało ma dla nich czasu, jak też staram się jeszcze pracować...

Piotr Życki

## Wywiadówko zreformuj się!

Myślę, że ogólne ramy wywiadówki z podziałem na część ogólną i indywidualną — pomyślano prawidłowo. Rzecz w tym, by nadać im właściwy przebieg w praktyce. Krytyczne uwagi na temat działalności Lapserdackich nie byłyby mniej skuteczne, gdyby przekazano je podcaśm rozmów w cztery oczy z wychowawcą. Ba, ale w tym właśnie sęk, że tego rodzaju rozmów właściwie nie ma! W części „indywidualnej” wywiadówek obowiązują dwa warianty: albo nauczyciel, prowadzący zebranie, po rozdaniu dzienniczek z wpisami ocenami wręcza oświadczenia, iż prosi o pozostanie tylko rodziców uczniów z dwójkami, albo... prowadzi wymianę zdań z podchodzącymi doń kolejno mamami i tatami, czemu — volens nolens — przypatruje się i przysłuchuje reszta zebranych współtowarzyszy niedoli.

Tak pomyślanym rozmowom towarzyszy pospiech, zażenowanie rodziców i zdawkowość,

POGLĄDY  
POLEMIKI  
POSTULATY

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 236

8. V. 1966

Rok VI

Tysiąc lat historii... w granicach Macierzy! Rzeczywiście, gdybyśmy na dzieje naszych ziem zachodnich spojrzeli z punktu widzenia ich politycznego początku i ich politycznego końca, łatwo nasunęłoby się nam to skojarzenie. Rzućmy bowiem okiem na mapy, z których jedna obrazuje granice naszej Macierzy około roku 1000, druga zaś współczesne granice Polski Ludowej.

Nie trudno zauważyć, że ich granice zachodnie całkowicie się z sobą pokrywają. Gdybyśmy więc nie znali całych dziejów tych ziem — między jedną i drugą datą, sądziłbyśmy, że nie było w historii przykładu większej trwałości granic, jak właśnie na tym odcinku naszego kraju. Jakże jednak rzeczywistość odbiega od tej geograficznej wizji. W świetle historii o wiele bliższej prawdy byłoby powiedzenie: Tysiąc lat rozstania...

Lecz takie stwierdzenie zawierałoby tylko część prawdy historycznej. O rozstaniu możemy mówić tylko wtedy, gdy spoglądamy na przeszłość tych ziem z punktu widzenia ich politycznego, tj. państwowego rozwoju. Ale obok wspólnoty życia politycznego istnieje jeszcze wspólnota życia kulturalnego, wspólnota obyczajów i języka, świadomości przynależności do jednej wspólnoty plemiennej, jednym słowem istnieje jeszcze wspólnota życia narodowego. W historii społeczeństw odgrywa ona równie doniosłą rolę, co rozmaite inne wspólnoty, jak np. wspólnota klasowa, wspólnota kulturalna, wspólnota polityczna itp. Wspólnota narodowa — jest podobnie jak inne wspólnoty, a zwłaszcza wspólnota państwowa wytworem historii. Polska wspólnota narodowa narodziła się w tym samym czasie, co polska wspólnota polityczna, to jest na przestrzeni X i XI wieku. Nie co innego, jak właśnie wspólnota powstawania i państwa i narodu polskiego, tłumaczy zastanawiający fakt, że ich granice przez wiele wieków całkowicie zachodzą na siebie. I gdy w XV i XVI wieku granice polityczne Polski coraz bardziej przesuwają się na wschód, granice etniczne żywiołu polskiego na zachodzie kraju świadczą jeszcze ciałe o zasięgu dawnej granicy państwowej z czasu pierwszych Piastów.

Potrzeba było wielu wieków zmagania, zakończonych dopiero za naszych czasów, aby na zachodzie kraju doprowadzić do przetrwania zgodności granic politycznych i narodowych. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że osiągnięcie owych granic z roku 1000 było sprawą łatwą i jednorazową. Proces jednoczenia

Pod tytułem „Ziemie Zachodnie w granicach Macierzy” ukaże się na początku maja br. nakładem Wydawnictwa Poznańskiego praca zbiorowa obrazująca kompleksowo problematykę ZZ w Tysiącleciu. Książka dzieli się na 4 części: Etapy integracji, Warunki powrotu, Odbudowa i zagospodarowanie oraz Spożycie w przyszłość. Wśród autorów jest wielu znanych naukowców, jak np. K. Secomski, W. Markiewicz, G. Labuda, A. Klafkowski, J. Ziółkowski, S. Darski, B. Kasprowicz, W. Misiuna, W. Kawalec, S. Zajchowska, M. Szczaniecki i inni. Z przygotowywanego do druku dzieła drukujemy dziś pierwszy fragment artykułu prof. dr. G. Labudy. Wkrótce następny fragment tego artykułu.

Prof. dr Gerard Labuda

## Ziemie zachodnie w granicach Macierzy

politycznego ziem polskich i wytworzenie w połowie X wieku silnego państwa polskiego był równie długotrwały, jak żmudny i przewlekły był proces tworzenia się polskiej wspólnoty narodowej. Pozostając w granicach metafory użytej już na wstępie, możemy powiedzieć, że na oba te procesy trzeba było również co najmniej jednego tysiąca lat, pod czas którego liczne plemiona zamieszkałe między Bugiem i Odrą, Bałtykiem i Karpatami scalały się w jeden organizm państwowy i narodowy. Polska, jako nazwa kraju, pojawiła się również dopiero około roku 1000; przedtem oznaczała ona tylko ziemie zamieszkałą przez plemię Polan z głównym ośrodkiem w Gnieźnie i w Poznaniu. (...)

Podstawowym dążeniem powstałych państw feudalnych była centralizacja władzy i dążenie do rozciągnięcia jej na sąsiadów. Na terenie przyszłej Polski wytworzyło się kilka ośrodków władzy, mianowicie w Małopolsce, na Śląsku i Mazowszu, w Wielkopolsce i na Pomorzu. Południowa Polska dostała się u schyłku IX wieku pod wpływ organizacji państwowych na terenie Moraw i Czech; niewiele brakowało, a byłaby się ona dostała w obręb wspólnoty politycznej i zapewne narodowej czeskiej. W Polsce północnej na czoło wysunął się związek plemion wielkopolsko-kujawskich z ośrodkiem w Gnieźnie. Za czasów Mieszka I (około r. 960—992) i Bolesława Chrobrego (992—1025) związek ten dokonał podboju Mazowsza i Pomorza, a następnie około roku 990 odebrał Czechom Małopolskę i Śląsk. Granice tego pierwszego zjednoczonego państwa opisuje dokument z lat 990—992 znany pod nazwą Dagome iudex.

W dokumencie tym Mieszko I występujący pod tajemniczym mianem Dagome oddaje swoje państwo Schinesghe (Gniezno) pod opiekę papieża Jana XV. Jako granice zewnętrzne tego państwa określa on „długie morze” tj. Bałtyk, Prusy, Rus, Kraków, Ołomuniec (lub Morawy), dalej plemię Milecan (na zachód od rzeki Nysy) i rzekę Odrę. Dokument ten więc jest wymownym świadectwem istniejącej już wówczas wspólnoty terytorialnej i państwowej Polski, a ówczesni jej władcy słusznie uchodzą za twórców pierwsze-

pogłębianą faktem tylko ogólnej orientacji wychowawcy co do przyczyn kiepskich ocen, z aplikowanych uczniowi z przedmiotów, których on nie wykłada. Nie sposób zadać, by w dzienniku każdy nauczyciel wypisywał uzasadnienie każdego nie najlepszego stopnia. Można natomiast chyba oczekiwać, że aranżowane przez szkoły jednoczesne wywiady dla wszystkich klas umożliwią organizowanie dyżurów całego ciała pedagogicznego. Idzie mi o to, by w przyszłości szkoły poszły za przykładem tych, które już to czynią. Przy takim rozwiązaniu zainteresowani rodzice, zamiast kontentować się sugestią wychowawcy w rodzaju: pan Kowalski przyjmuje w czasie dużej przerwy co czwartek — mogą od razu pospieszyć do niego i wyjaśnić dręczące ich wątpliwości.

Nie sądzę, by upowszechnienie tej formy przebiegu wywiadówek było czymś arcytrydnym, choć — niestety — wiązać się może z dodatkowym zaabsorbowaniem pedagogów. Wszakże „sesja wywiadowkowa” nie trwałaby chyba dłużej niż trzy popołudnia, a pewien jestem, że zmodyfikowany kształt zebrań informacyjnych da nie tylko więcej pożytku rodzicom, lecz także pomoże szkole. Nie ulegajmy złudzeniom: na rozmowy indywidualne z wychowawcą w oznaczone dni, przybywa w ciągu roku naprawdę niewiele osób. Dla większości rodziców okresowe wywiady są jedyną sposobnością stykania się ze szkołą.

Czy to źle? Może. Ale tak było i chyba tak pozostanie. Tym bardziej więc zadbać trzeba o formę i treść wywiadówek. Opowiadam się za rzeczowością — przeciw wskazywaniu wywodów; za naprawdą indywidualnymi rozmowami — przeciw publicznej spowiedzi i za szerszymi możliwościami bezpośrednich kontaktów rodziców z wykładowcami wszystkich przedmiotów.

Sądzę, że w ramach dyskusji i rozlicznych projektów unowocześniania szkolnictwa, powinno się poświęcić cokolwiek uwagi także wywiadówkom. Nie są one z pewnością najważniejszym punktem w programie działalności szkoły, ale punktem niewrażliwym. Mniemam, iż jedno udane zebranie informacyjne z rodzicami, poparte indywidualnymi rozmowami, przyniesie większe efekty, niż największy transparent ze sloganem o konieczności współpracy szkoły z domem.

go wczesnofeudalnego państwa polskiego. Państwo to całym swoim aparatem administracyjnym i wojskowym zabezpieczało bezpieczeństwo ludności, a zarazem utrzymywało nad nią władzę możnych, oddając w ich ręce ogromne obszary ziemi i zarządzając krajem. Do przewzięcia dawnej partokracji plemiennej przyczyniło się też poruczenie przez Mieszka I kultu pogańskiego, którego kapłani byli obrońcami dawnych stosunków, i przyjęcie kultu chrześcijańskiego (966), którego kapłani popierali jednolitą władzę książęcą na terenie całego państwa. Powstała wówczas organizacja metropolitalna na Polskę z siedzibą w Gnieźnie (w latach 999—1000) ogarnęła swoimi granicami cały kraj; z tego względu również granice kościelne świadczyły potem przez wiele wieków o dawnej przynależności ziem zachodnich do państwowego terytorium polskiego.

W połowie tysiąclecia naszej ery wszyscy Słowianie stanowili jeszcze wspólnotę kulturalną, obyczajową i językową; zachodziły między nimi różnice regionalne, spowodowane odmienną siłą środowiska geograficznego i zmiennością trybu życia. Po ustaniu wielkich wędrówek i po przejściu do wyższej sprężajnej formy uprawy roli w obrębie trzech wymienionych wyżej szczepów zaczęła się dokonywać wewnętrzna koncentracja. (...) W drugim tysiącleciu naszej ery jesteśmy więc świadkami dzielenia, czyli dezintegracji dawnej wspólnoty słowiańskiej na szczepy oraz łączenia, czyli integracji poszczególnych plemion w obrębie tych szczepów. Już w tym okresie zaczynały coraz wyraźniej zaznaczać się różnice w kulturze materialnej, obyczaju, ustroju, kulturze duchowej, a w szczególności w języku między poszczególnymi szczepami. W miarę intensyfikacji życia gospodarczego i powstawania coraz nowych związków plemiennych ten proces dezintegracji szedł o jeden szczebel niżej.

W VIII i IX stuleciu w obrębie Słowian szczytny zachodniej (lechickiej) wytworzyło się kilka stref osadniczych, których ośrodkami stają się wielkie rzeki w swym górnym lub środkowym biegu. Wy różniły się one pod względem: nadwisiańskich, nadodrzańskich, połabskich oraz dwa towarzyszące im zespoły plemion nadbałtyckich i nadnaddunajskich. W tym czasie nie było między tymi plemionami żadnej trwałej spójni narodowej lub politycznej. Przez zetknięcie się z sąsiadami obcego pochodzenia powstała jednak już w tym czasie i coraz bardziej utrwalała się świadomość odrębności etnicznej. Punktem zwrotnym było przezwyciężenie się plynnych i terytorialnie zmiennych związków plemion i państwa typu wczesnofeudalnego. Zamknęły one proces różnicowania się etnicznego między poszczególnymi plemionami i tchnęły w niego element nowej wspólnoty ponadplemiennej. Proces tworzenia się ustrojów wczesnofeudalnych występuje wśród wszystkich wyżej wymienionych plemion — w Czechach i na Morawach, w Polsce i na Pomorzu, u Słowian, Węłetów i Obodrytów między Odrą i Łabą. Najprędzej proces ten dojrzał w Czechach i w Polsce. (...)

Na Pałabiu jedynie Obodryci byli bliscy wytworzenia na przełomie XI/XII wieku dość znacznego państwa, obejmującego ziemie między dolną Odrą i dolną Łabą, a tym samym bliscy wytworzenia osobnej na rodowości. Jednakże już w drugiej połowie cały obszar między Łabą i Odrą dostał się ostatecznie pod panowanie niemieckie, co przerwało na zawsze proces zjednoczenia politycznego i narodowego tych plemion.

Niejako pod osłoną tej zapyry plemion połabskich dokonało się scalenie polityczne i wytworzenie spójni narodowej w Czechach i w Polsce. Wspólnota polityczna przyspieszyła krystalizację wspólnoty narodowej, z kolei zaś utrwalające się coraz bardziej poczucie jedności narodowej stabilizowało ponadplemienną organizację państwową. Zaszczepione wówczas poczucie wspólnoty, a tym samym poczucie odrębności kulturowej i językowej okazało się silniejsze od instytucji feudalnego państwa polskiego. Ono też w rezultacie stało się po wielu wiekach jednym z ważnych nośników odbudowanej po II wojnie światowej państwowości polskiej na Ziemiach Zachodnich.



# Ongiś guśłami leczono...

Kiedy po bitwie pod Cedynią wojsko Scibora — brata Mieszka I — wracało do Poznania, na placu boju pozostały specjalnie wyznaczone oddziały, które miały za zadanie uprzątnąć pobożewisko. Rannych wojów łądowano na wozy i rozwożono do pobliskich grodów i gródków, gdzie pod opieką miejscowych bab mieli przyjść do zdrowia.

Nie było w tamtym okresie jasných sal szpitalnych, bloków operacyjnych, sterylizatorów i innych tego typu urządzeń, bez których nie możemy sobie dzisiaj wyobrazić leczenia. Sztuka lekarska w Polsce Mieszka I opierała się na ścisłym kontakcie z przyrodą, skąd różnego asortymentu znachorzy i baby czerpały znane im tylko lekarstwa. Taką sytuacją istniała w całej ówczesnej Europie.

Inaczej było w świecie starożytnym, który zwracał szczególną uwagę na zdrowie. W Rzymie czy Grecji sztuka lekarska była bardzo wysoko postawiona, a do znanych i cenionych lekarzy jeżdżali ludzie z całego ówczesnego cywilizowanego świata.

W Polsce, jak podaje Wacław Męczykowski w swojej pracy „Szpitale dawnej Rzeczypospolitej w uchwatach Synodów Polskich”, pierwszy szpital istniał we Wrocławiu. Powstał on na górze Sobótki, na której dzisiaj strzela w niebo stalowy maszt przekaznikowy Telewizji, przeniesiony został do stolicy Dolnego Śląska. Drugi z kolei szpital na ziemiach polskich znajdował się przy klasztorze Cystrów w Jędrzejowie. Najprawdopodobniejsza data jego założenia, to rok 1151. Trzeci — a pierwszy w Poznaniu — to szpital pod wezwaniem św. Michała, którego założycielem był Mieszko III Stary.

Prapradziadek szpitali poznańskich zlokalizowany był na terenie obecnej Śródky, w obrębie pierwotnego Poznania. Ówczesne szpitale finansowane były w ten sposób, że założyciel i inne majątne osoby przekazywały szpitalowi pewne obiekty, jak młyny, folwarki, a nawet całe wsie, z których dochód szedł na utrzymanie pacjentów i personelu. Pierwszy poznański szpital był dotowany bardzo obficie. Otrzymywał on dochody ze wsi Miełostowo, Andrzejewo, Wygodnowo, Wielkie, Suchylas, Obrzel i Lipnica. W latach późniejszych synowie Mieszka III Starego — Bolesław Pobożny i Przemysław I — przekazywali na rzecz szpitala dalsze legaty.

Naturalnie nie znaczyło to wcale, że pacjenci pierwszego poznańskiego szpitala opływali we wszelkie dostatki. Po pierwsze — dochody z owych maleńkich przeczół wsi nie były zbyt duże, po drugie — koszty utrzymania całego szpitala, a więc również kościoła przyszpitalnego (często większego niż właściwy obiekt szpitalny) były tak duże, że dla samych chorych pozostawało niewiele. Poza tym już w ówczesnych latach zaczyna pojawiać się problem... manka. Dowodem, że działo się źle, zwłaszcza z majątkami szpitalnymi, jest wystąpienie

synodu diecezjalnego w Krakowie (1495) — przeciwko grabieżcom mienia szpitalnego. W latach późniejszych, w czasie Soboru Trydenckiego (1445—1563), synody polskie podejmują kilka uchwał w sprawach mienia szpitalnego. Przypominają one biskupom i proboszczom, że nie są oni właścicielami tego mienia, że majątki szpitalne mogą być sprzedawane tylko za obopólną zgodą władz świeckich i kościelnych, a do zarządzania szpitalami winni być przyjmowani także ludzie świeccy.

Nim centrum Poznania przeniesiono na lewy brzeg Warty powsta-

Maciej Stabrowski

## Milenium szpitali poznańskich

ły na Śródcę jeszcze dwa szpitale, których lokalizacja nie jest znana. Były to bardzo małe obiekty, które dzisiaj nazwalibyśmy raczej domami dla nieuleczalnie chorych, a nie szpitalami w pełnym tego słowa znaczeniu. Następne szpitale podobnie jak w innych miastach Europy zakładano już poza murami obronnymi. A więc były to szpitale św. Wawrzyńca i św. Mikołaja na Chwaliszewie i Zagórz, dom dla zarażonych „chorobą francuską”, czyli kiłką i szpital św. Walentego na przedmieściu Gąsiki, szpital dla trędowatych za bramą Wrocławską, największy w owym czasie — św. Ducha za bramą Wroniecką, szpitale św. Gertrudy i św. Stanisława zlokalizowane w okolicy dzisiejszego placu Bernardyńskiego i wreszcie szpital dla zarażonych dżumą, umiejscowiony pomiędzy Półwsią a Wildą. Szpital św. Ducha, jak po-

daje biskup poznański Szembek, był „kosztownie wystawiony” i służył „wyrzuceniom młodym na wychowanie”. Nie był to naturalnie dom dla ówczesnych chuliganów, ale szpital, w którym wydzielono osobne sale dla podzutek. Wszystkie te szpitale kończyły swój żywot albo w płomieniach pożarów, które licznie nawiedzały wtedy Poznań, lub też ostatecznie uległy zagładzie w czasie wojen szwedzkich. Jedynym widomym reliktem dawnego szpitalnictwa w Poznaniu jest piętrowy dom na narożniku ulic Dzierżyńskiego i Niedziałkowskiego — pozostałość po dawnym szpitalu św. Łazarza, który stał na pograniczu wsi Wilda należącej do Poznania.

Wiek XIX przynosi organizację nowych szpitali w Poznaniu, które stały się od razu areną walk o narodowy, polski charakter szpitalnictwa. Pruski zaborca stara się nie dopuścić polskich lekarzy i pielęgniarek do opieki nad chorymi wprowadzając z Niemiec siostry zakonne. W okresie pewnego nieznacznego zmniejszenia ucisku pruskiego, król Fryderyk Wilhelm wydaje zezwolenie na otwarcie szpitala w Poznaniu. Od 21 sierpnia 1821 r. rozpoczął swoją działalność Szpital Miejski znany dzisiaj jako Szpital Kliniczny im. Pawłowa przy ul. Długiej. W 1854 r. otworzono Szpital Miejski przy ul. Koziej, który w następnych latach zajął cały teren pomiędzy ulicami Kozia, Szkolną i Walki Młodych, a dzisiaj nosi imię J. Strusia. W roku 1877 grono lekarzy poznańskich założyło „Stowarzyszenie opieki szpitalnej dla chorych dzieci”. Dało to początek obecnemu Wojewódzkiemu Szpitalowi Dziecięcemu przy ul. Józefa.

Następne dziesięć lat, to dalszy rozwój szpitali poznańskich. Zaczęły powstawać również małe kliniki prywatne. Traktowano je jednak jako przedsiębiorstwa dochodowe. Stąd nie były nigdy dostępne dla szerokiego ogółu. Dopiero wprowadzenie po 1945 roku bezpłatnej opieki lekarskiej rozwiązało problem opieki zdrowotnej ludności.

Ignacy Rutkiewicz

## Pomnik powrotu Polski nad Odrę

A więc stanie wielki pomnik, monumentalne wyobrażenie faktu na miarę stuleci: powrotu Polski nad Odrę i Bałtyk. Stanie nad Odrą, we Wrocławiu. W niedzielę, 8 bm., podczas dorocznego uroczystości majowych, dokona się wmurowania aktu erekcyjnego. Równocześnie ogłoszony będzie ogólnopolski konkurs na projekt pomnika, który ma symbolizować ponowne scalenie wszystkich ziem polskich, wspaniałe zamknięcie ciągu dziejowego, otwartego przed tysiącami lat.

Gdzieś przed rokiem wybuchła we Wrocławiu żarliwa dyskusja: jak upamiętnić to wielkie wydarzenie z roku 1945, powrót „na Ojczyznę łono” ziem utraconych przed wiekami, ale zawsze przecież obecnych w świadomości narodu? Starły się dwie koncepcje.

Jedni dowodzili, że słowo „pomnik” nie musi być rozumiane dosłownie, powoływali się na przykład szkół-pomników Ty siacelca, chcieli wnieść we Wrocławiu obiekt wielki, monumentalny, ale zarazem bezpośrednio użyteczny, swoim tytułem jedynie mówiący, że powstał dla upamiętnienia faktu powrotu Polski nad Odrę. Padły projekty: zespół budowli mieszczących sale teatralne i koncertowe, muzeum sztuki współczesnej, muzeum polskiej przeszłości Nadodrze...

Inni argumentowali, że owszem, dobrze byłoby przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie, uczcić wielkie wydarzenie historyczne i załatwić jakąś dziurę w lokalnym wyposażeniu instytucji artystycznych miasta, ale przecież inna jest wymowa pomnika-monumentu, inna zaś informacyjnej tabliczki na chodzie po stołeczku potrzebnej społeczeństwu budowl. Ze, słowem, jeśli mówimy o pomniku, to wzniesimy pomnik, a nie od rzeczy będzie pamiętać, że przez lat dwadzieścia nie zdobyliśmy się we Wrocławiu na ufundowanie jednego bodaj pomnika (jeśli nie liczyć nie najfortunniejszej decyzji ułożenia we Wrocławiu przywiezionego z Lwowa pomnika Fredry i niezrealizowanej od lat siedmiu zapowiedzi budowy pomnika, Bolesława Krzywoustego na Psem Polu).

Wiadomo już od kilku tygodni, że górę wziął ostatecznie ów pogląd dru-

gi. Wiadomo również od kilku tygodni, gdzie ma stanąć pomnik: nad Odrą, między mostami Pokoju i Grunwaldzkim. Dwa pytania pozostają jedynie jeszcze bez odpowiedzi, mianowicie kształt pomnika (bo o nim zdecydowały wyniki konkursu) i termin odsłonięcia.

Wybór miejsca, jak się wydaje, najtrafniejszy spośród rozważanych wielu rozmaitych możliwości, nie przyszedł od razu. W konkursie odpadły kolejno Rynek, plac Kosciuszki, ul. Powstańców Śląskich, plac Grunwaldzki, plac PKWN, plac Spółeczny. Wybór padł na to miejsce nad Odrą, dla kilku ważnych powodów. Ołóż tym pomnika będą nowe gmachy wyższych uczelni i zakładów Polskiej Akademii Nauk, gmachy o interesującej architekturze i urbanistyce, zaprojektowane specjalnie dla Wrocławia. Po wtóre — szczególny charakter tej oprawy podkreśli Odrę, ten tak charakterystyczny i wciąż jeszcze przez architektów niedoceniany element wrocławskiego pejzażu. Widokowo miejsce jest ciekawe: w jedną stronę otwiera się ku gótyckim wieżom Ostrowa Tumskiego, w drugą ku tonącemu w zieleni Dąbiu i Biskupinowi; leży zaś na bardzo uczęszczanym ciągu spacerowym.

Co ma symbolizować ten pomnik wzniesiony na odrzańskim brzegu. (Kto wie zresztą, czy nie powtórzy się propozycja znana z warszawskiego konkursu na pomnik walki i zwycięstwa — ustawienie pomnika w nurcie rzeki) — to wiemy. Ale warunki konkursu, który pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Sztuki ogłosił wspólnie Związek Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenie Architektów Polskich, zostawia jego uczestnikom najzupełniej wolną rękę w wyborze koncepcji plastycznej, architektonicznej i rzeźbiarskiej. A że konkurs będzie miał charakter ogólnopolski i będzie konkursem otwartym, można spodziewać się napływu wielu prac i komisja konkursowa będzie z pewnością miała niełatwy wybór.

Eugeniusz Paukszt

## Spod znaku MON

Na czoło nowych pozycji MON-u wysuwają się niewątpliwie dwutomowe wydanie „Pism wybranych” M. N. Tuchaczewskiego, marszałka Związku Radzieckiego, wybitnego przywódcy w latach wojny domowej, straconego na rozkaz Stalina. Po rehabilitacji, prace, o której mowa, ukazała się w Związku Radzieckim w związku z 70 rocznicą urodzin Tuchaczewskiego. „Pisma wybrane” zawierają prace teoretyczne, związane głównie z koncepcjami walki oraz wspomnienia i relacje z poszczególnych frontów, którymi Tuchaczewski dowodził. Dla polskich odbiorców szczególnie interesujący będzie cykl wykładów „Wyprowadzenie do zwycięstwa”, omawiających kampanię 1920 roku. W ogóle zaś znaleźć tu można niejedno nowe naświetlenie wydarzeń z pierwszych lat rewolucji.

W serii redagowanej przez Wojskowy Instytut Historyczny ukazują się regularnie monografie poświęcone poszczególnym jednostkom Wojska Polskiego w

ich kampanii bojowej. Spod pióra Józefa Gutermana i Zenona Welfelda ukazała się obecnie praca „Trzeci Berliński”, oddająca dzieje 3 Berlińskiego Pułku Piechoty od formowania w Stielcach przez Lenino, walki na Smoleńszczyźnie, nad Wisłą, aż po Wał Pomorski, Zalew Szczeciński, Odrę i wreszcie szturm Berlina. Praca, jak zawsze monografie tego typu, oparta na liczne aneksy, odsyłacz, listy poległych i odznaczonych oraz w bogatą dokumentację fotograficzną.

Czesław Lipka natomiast w tomie „Trzynasty pancerny” ilustruje dzieje 13 pułku artylerii pancerniej, pułku, który tak waleśnie odznaczył się później w walce, zwłaszcza na pozycjach Wału Pomorskiego i nad Zalewem Szczecińskim. Specyfika walki jednostek artylerii pancerniej, ich rola i znaczenie w poszczególnych operacjach znajdują w tekście Czesława Lipki sumiennego i świetnie zorientowanego narratora.

Skoro mowa o kampanii wojennej, warto zapowiedzieć ukazanie się nowego, poszerzonego i poprawionego wydania książki wspomnieniowej Jerzego Łyżwy „Od Wistoka do Czarnej Elstery”, związanej ze szlakiem bojowym 10 dywizji piechoty 2 Armii WP od Wistoka do Czarnej Elstery, zwłaszcza nad Nysą i w borach łężyckich. Wspomnienia te pisane są bardzo bezpośrednio, z zaangażowaniem emocjonalnym, co dodaje im szczególnej barwy i sprawia, że czyta się je z wielkim zainteresowaniem.

Z problematyką bezpośrednio wojenną związane są dwa przekłady. Związka interesujące są, w warstwie dokumentarnej, ale i w ogólnym klimacie, notatki korespondenta wojennego „Krasnej Zwiezdy” Aleksandra Kriwickiego pt. „Nigdy nie zapomnę”. Autor uczestniczył w wielu węzłowych wydarzeniach młodej wojny, oglądał własnymi oczyma niejedną walkę, zwłaszcza zaś interesował się ludźmi, zarówno z własnej strony, jak i z obozu przeciwnika. Zetknięcia z nimi, doskonale oddane, są jednymi z najbardziej interesujących partii tej opowieści.

Druga książka, pisarsza amerykańskiego Johna Dos Passosa

„Trzej żołnierze” wiąże się jeszcze ze sprawami pierwszej wojny światowej. Obok „Ognia” Barbusse’a, była to pierwsza książka, jeszcze przed Remarque’em, wprowadzająca się z pozycji antywojennych, pisana przez uczestnika walk, żołnierza armii włoskiej, francuskiej, potem zaś amerykańskiej, człowieka, który świat nie umiał przejrzeć mechanizm wojny widzianej zwłaszcza od strony jej periferii. Powieść bardzo realistyczna, doskonale zrobiona warsztatowo, żywa i pełna pasji płynącej z rozgoryczenia, stanowi interesujący obraz protestu przeciwko wojnie.

Ze wznowień MON-owskich należy wymienić Arkadego Fiedlera „Dziękuję ci, kapitanie”, popularną opowieść o losach ludzi i statków polskiej marynarki handlowej na morskich trasach wojennych oraz Jerzego Bohdana Rychlińskiego „Famę kapitana Mory”, stanowiącą część cyklu powieściowego osnutego na tle dziejów polskiej floty za Zygmunta III.

Z książką na ty



DZIEŁO ZWYCIĘSTWA

„Tygodnik Demokratyczny” w 21 rocznicę zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem zamieszcza rozmowę z Głównym Inspektorem Obrony Terytorialnej, wiceministrem obrony narodowej, generałem dywizji Grzegorzem Korczyńskim.

Generał omawia najpierw podstawowe elementy, które przyczyniły się do rozbicia hitlerowskiej maszyny wojennej, a następnie w związku z tym, iż nie które koła lansują obecnie tezę, że Polska „nie wyszła z wojny jako państwo zwycięskie” — precyzuje wkład Wojska Polskiego w pokonanie Niemiec hitlerowskich. G. Korczyński przypomina, że kraj nasz był pierwszą ofiarą agresji hitlerowskiej i pierwszą siłą, która się jej czynnie przeciwstawiła, że walczyliśmy z najeźdźcą najdłużej ze wszystkich krajów koalicji antyhitlerowskiej, bo od 1 września 1939 do 9 maja 1945 roku.

WOJENNE STRATY POLSKI

„Życie Gospodarcze”, które przed dwoma tygodniami omówiło straty ludnościowe naszego kraju, spowodowane ostatnią wojną, publikuje obecnie w rubryce „Liczby mówią” zestawienie strat materialnych, liczonych na obszarze wchodzącym za równo przed wojną jak i obecnie w skład Polski. Oszacowano je na su-

me 258 mld. zł. licząc w cenach 1939 r. Wartość zniszczeń przypadająca na jednego mieszkańca liczonego w dolarach, była najwyższa w Polsce — 703 dol., podczas gdy we Francji 512 dol., w Czechosłowacji 286 dol., w Anglii — 134 dol., w USA 10 dol.

WIZYTA CZŁOWIEKA WIERZĄCEGO

Dwutygodnik „Prawo i Życie” (obchodzi właśnie 10-lecie działalności — gratulujemy!) drukuje fraputującą relację pt. „Wizyta człowieka wierzącego”. Tadeusz Kur przedstawia w niej kierowcę, który wierząc w potrzebę dbania o przestrzeganie zasad praworządności przez każdego człowieka, przeciwstawił się złu wszędzie, gdzie je napotykał.

Wszędzie miał wzorową opinię wzorowego pracownika, ale też z każdego po kolei zakładu pracy musiał odchodzić. Ostatnio znowu stanął przed taką groźbą. Autor artykułu wierzy jednak, że tym razem krzywdą kierowcy się nie sta nie.

APETYTY NA INŻYNIERA

Agnieszka Wróblewska podjęła w „Polityce” próbę odpowiedzi na pytanie: dlaczego mimo to, że na stu zatrudnionych w przemyśle przypada u nas proporcjonalnie więcej in-

żynierów niż w takich krajach, jak Szwecja, NRF, Włochy czy Wielka Brytania — jednocześnie brak u nas 30 tysięcy inżynierów, jak to przynajmniej określano na V Kongresie Techników Polskich. Zdaniem publicystki jest to deficyt pozorny, gdyż wielu inżynierów zatrudnia się u nas na stanowiskach, na których nie potrzeba ludzi o tak wysokich kwalifikacjach.

ŻURNALISTA — ISTOTA NIEZNANA

„Grupa zawodowa, z której tylko jeden na pięć może liczyć na to, że dożyje 65 lat (w kraju, w którym średnio dożywa tego wieku 71 ludzi na stu) grupa, w której na stu zmarłych trzydziestu siedmiu umiera między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, a następnych dwudziestu dwóch między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia, w której na sto wypadków śmierci przypada dziesięć samobójstw — taka grupa prowokuje do rozmyślań i refleksji. O kogo tu idzie? Nie o górników, rzecz jasna, nie o hutników — jedni i drudzy to zawody liczące setki tysięcy przedstawicieli. Nie o kolejarzy, drwali, ani nauczycieli. Mówi się o żurnalistach”.

Tak rozpoczyna Zbigniew Kwiatkowski na łamach „Życia Literackiego” artykuł o problemach środowiska dziennikarskiego, liczącego w

kraju około 5 000 osób, przedstawia specyfikę tego zawodu. W związku z pewnymi mitami o zarobkach dziennikarzy, Zbigniew Kwiatkowski pisze:

„W sytuacji ludzi wykonujących zawody, którym towarzyszy większe od przeciętnej niebezpieczeństwo, napięcie czy wysiłek, obserwujemy czynnik, które tych ludzi w jakiś sposób uprzywilejowują. Finansowo czy prestiżowo, a najczęściej i finansowo i prestiżowo. Trudno tu o dokładne dane liczbowe, ale przy pominięciu w latach czterdziestych i pierwszych pięćdziesiątych zarobek dziennikarza dał się porównać z zarobkiem dyrektora średniego zakładu przemysłowego (a większych było wtedy niewiele). Dziś zarobki dziennikarza wytrzymują — z trudem — porównanie z zarobkami księgowego — nie głównego, broń Boże! — średniego przedsiębiorstwa. Stan ten znajduje swoje odbicie w statystyce. Na stronie 488 Rocznika Statystycznego 1965 znajdujemy: placę miesięczną brutto w gospodarce upośledzonej wzrosła — w stosunku do roku 1955 — w przemyśle o 72 proc.; budownictwie o 66 proc.; administracji publicznej i instytucjach wymiaru sprawiedliwości o 104 proc. Nie dysponuję średnią zarobków dziennikarzy, mam natomiast pod ręką Układ zbiorowy pracy dziennikarzy z r. 1964 i Zasadę pracy i placę dziennikarzy, zatwierdzone Uchwałą Prezydium Rządu dnia 9 maja 1955 roku. W myśli Uchwały z roku 1955 sekretarz redakcji codziennego pisma terenowego zarabiał od 2 200 do 2 950 złotych miesięcznie. Układ zbiorowy podnosi górną granicę zarobków do

3 200 złotych. (Wzrost mniejszy niż do 10 proc.). Publicysta: zgodnie z Uchwałą z roku 1955 mógł zarobić od 1 500 do 2 100 złotych. Układ ustala górną granicę na 2 400 złotych (wzrost przekracza o kilka punktów 10 proc.). Średni wzrost zarobków no minalnych dziennikarzy na przestrzeni dziesięciu z górą lat nie przekracza 10-12 procent. Komentarz, jak się wydaje, zbyt cyniczny”.

„Kultura” drukuje stenogram drugiej części referatu prof. Henryka Jabłońskiego pt. „Państwo a naród”, wygłoszonego podczas dyskusji zorganizowanej przez redakcję kwartalnika „Z pola walki” nad ujęciem problematyki narodowej w teorii marksistowskiej. W tym samym tygodniku, Krzysztof Topliński przedstawia pamflet „Paradoks o aktorze”. W „Wiadrach” — dodatku „Faktów i Myśli” Przemysław Bystrzycki wypowiada się w ankiecie przed IX Zjazdem Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, zaś w „Tygodniku Kulturalnym” Edward Balcerzan — w cyklu „Mój stosunek do naszej tradycji literackiej” — artykułem „Mitologia tradycji”. „Polityka” drukuje list kardynała S. Wyszyńskiego w związku z artykułem I. Krasickiego pt. „Sobór nadziei, kompromisu i rozczarowań” z 9. 4. br. oraz odpowiedź red. I. Krasickiego. W „Trybunie Ludu” (nr 154) Konstanty Gryniewski w cyklu „Spotkania z Tysiącleciem” publikuje artykuł „Fakty i legenda o biskupie Stanisławie”. „Szpilki” przedstawia numer sprzed tyśiąca lat, znalezionej — jak żartobliwie stwierdza redakcja — w wykopaliskach na placu Trzech Krzyży...

LEKTOR